

IDŹ DO

PRZYKŁADOWY ROZDZIAŁ



SPIS TREŚCI

KATALOG KSIĄŻEK

KATALOG ONLINE

ZAMÓW DRUKOWANY KATALOG

TWÓJ KOSZYK

DODAJ DO KOSZYKA

CENNIK I INFORMACJE

ZAMÓW INFORMACJE
O NOWOŚCIACH

ZAMÓW CENNIK

CZYTELNIA

FRAGMENTY KSIĄŻEK ONLINE

Hakerzy i malarze. Wielkie idee ery komputerów

Autor: Paul Graham

Tłumaczenie: Tomasz Misiorek

ISBN: 83-7361-647-0

Tytuł oryginału: [Hackers & Painters.](#)

[Big Ideas from the Computer Age](#)

Format: B5, stron: 272



Mamy już za sobą erę pary, erę telewizji i erę samochodu. Nastąpiła era komputerów. Nie era podboju kosmosu, nie era wszechobecnego pokoju, ale właśnie era komputerów. Komputery są niemal wszędzie, a osoby i firmy, które kształtują ich obecną postać, są powszechnie znane i rozpoznawane. Zastanawiasz się, dlaczego tak się dzieje? Dlaczego niektóre, pozornie genialne, idee upadają, a inne – rozkwitają? Na pewno łatwiej będzie Ci to zrozumieć, gdy poznasz sposób myślenia osób związanych z komputerami i programowaniem.

„Hakerzy i malarze. Wielkie idee ery komputerów” to książka, której autor próbuje wyjaśnić światu to, co dzieje się aktualnie w branży komputerowej, a co więcej – stara się to wyjaśnić używając zrozumiałego języka. Opisuje więc historie powstania wielkich firm, pomysły rozwijane przez ludzi zwanych często „mózgowcami”. Pokazuje też, dlaczego małe, niezależne firmy programistyczne osiągają sukces na tym samym rynku, z którego rokrocznie znika kilka gigantów i dlaczego programiści wydają się tak bardzo różni od przedstawicieli innych zawodów.

Czytając tę książkę, dowiesz się między innymi:

- Dlaczego mózgowcy nie są popularni?
- Kim właściwie są hakerzy?
- Jak zbić majątek na nowych technologiach?
- Jak tworzyć wielkie produkty?
- Czym są języki programowania?
- W jaki sposób powstają dobre projekty?

Chcesz zrozumieć współczesny świat? Odpowiedzi na wiele swoich pytań znajdziesz właśnie w tej książce.



Spis treści

Wstęp	7
1. Dlaczego mózgowcy nie są popularni?	11
<i>Ich umysły są zaprzątnięte czym innym.</i>	
2. Hakerzy i malarze	29
<i>Hakerzy są twórcami, podobnie jak malarze, architekci czy pisarze.</i>	
3. Czego nie wolno Ci mówić?	47
<i>Jak mieć heretyckie myśli i co z nimi zrobić?</i>	
4. Dobrzy źli obywatele	67
<i>Hakerzy osiągają sukces, łamiąc zasady, podobnie jak Amerykanie.</i>	
5. Inna droga przed nami	75
<i>Korzystanie z oprogramowania poprzez internet daje największe pole do popisu od czasu pojawienia się mikrokomputera.</i>	
6. Jak zbić majątek?	113
<i>Najlepszym sposobem na wzbogacenie się jest stworzenie czegoś wartościowego. A założenie małej, niezależnej firmy to najkrótsza do tego celu droga.</i>	
7. Uwaga na przepaść	139
<i>Czy „nierównomierna dystrybucja dóbr” może być w istocie mniejszym problemem niż się nam wydaje?</i>	

- 8. Sposób na spam** **155**
Do niedawna większość ekspertów nie uważała filtrowania spamu za właściwą metodę jego eliminacji. Ta propozycja zmusiła ich do zmiany poglądów.
- 9. Gust dla twórców** **165**
Jak stworzyć wielkie rzeczy?
- 10. Języki programowania objaśnione** **179**
Czym są języki programowania i dlaczego tyle się teraz o nich mówi?
- 11. Język następnego stulecia** **189**
Jak będziemy programować za sto lat? Dlaczego nie zacząć tak programować dziś?
- 12. Pokonywanie przeciętniaków** **203**
Przy pisaniu aplikacji działających na serwerze możesz korzystać z każdego języka, jaki Ci się podoba. Twoja konkurencja też.
- 13. Odwet mózgowców** **217**
W technologii „dobre, sprawdzone rozwiązania” to prosta droga w przepaść.
- 14. Wymarzony język** **235**
Dobry język programowania to taki, który pozwala hakerom robić to, co im się żywnie podoba.
- 15. Projektowanie i odkrywanie** **253**
Odkrycia muszą być oryginalne. Projekty muszą być dobre.
- Podziękowania** **259**
- Słowniczek** **261**

1

Dlaczego mózgowcy nie są popularni?

GDY BYŁEM W GIMNAZJUM, MÓJ KUMPEL RICH I JA SPORZĄDZILIŚMY mapę stolików w stołówce, uwzględniającą popularność siadających przy nich osób. Nie było to trudne, bo dzieciaki jadały lunch wyłącznie w towarzystwie kolegów mniej więcej tak popularnych jak one same. Podzieliliśmy stoliki na klasy od A do E. Przy stolikach klasy A siadało wielu graczy szkolnej drużyny futbolowej, majoretki i tak dalej. Stoliki klasy E zajęte były przez dzieci z łagodnymi przypadkami zespołu Downa, które w tamtych czasach nazywaliśmy po prostu „opóźnionymi”.

My siedzieliśmy przy stoliku klasy D, tak nisko, jak tylko było można, jeśli się nie było fizycznie odmiennym od innych. Nie byliśmy szczególnie chętni, aby przyporządkować się do stolika D, ale inne przyporządkowanie wymagałoby jawnego zaprzeczenia rzeczywistości. Każdy w szkole dobrze wiedział, jak popularni byli inni, my wiedzieliśmy także.

Znam mnóstwo ludzi, którzy w szkole byli mózgowcami i wszyscy powtarzają tę samą historię: istnieje silny związek pomiędzy byciem mózgowcem a byciem inteligentnym, ale jeszcze silniejszy związek pomiędzy byciem mózgowcem a byciem niepopularnym. Bycie inteligentnym zdawało się być powodem, dla którego nie było się popularnym.

Dlaczego? Komuś, kto wciąż chodzi do amerykańskiej szkoły, to pytanie może wydawać się dziwne. To rzecz tak oczywista, że nienaturalne wydaje się nawet wyobrażanie sobie, że mogłoby być inaczej.

Ale przecież mogłoby. Inteligencja nie czyni z Ciebie wyrzutka w szkole podstawowej. Nie przynosi też ujmy w prawdziwym świecie. O ile mi wiadomo, w innych krajach ten problem też wcale nie jest aż tak palący. Ale w przeciętnej amerykańskiej szkole ponadpodstawowej bycie inteligentnym z całą pewnością utrudnia życie. Dlaczego?

Kluczem do rozwiązania tej zagadki jest drobne przeformułowanie pytania. Dlaczego inteligentne dzieciaki nie wymyślą czegoś, by stać się popularnymi? Jeśli są takie sprytnie, to czemu nie rozpracują sposobu funkcjonowania popularności i nie pokonają systemu, tak jak robią to w przypadku standardowych testów?

Istnieje teza głosząca, że to nie byłoby możliwe, że inteligentne dzieciaki są niepopularne, bo rówieśnicy zazdrozczą im inteligencji i tak czy owak nie byłyby one w stanie zrobić nic, by tę popularność zdobyć. Akurat. Jeśli inne dzieciaki w gimnazjum mi zazdrościły, doskonale radziły sobie z ukrywaniem tej zazdrości. W każdym razie, gdyby inteligencja była cechą godną pozazdrozczenia w oczach gimnazjalistów, dziewczyny nie potrafiłyby się jej oprzeć. Dziewczyny lubią chłopaków, na których inni spoglądają z zazdrością.

W szkołach, do których chodziłem, inteligencja niewiele znaczyła. Dzieciaki ani nie podziwiałały inteligencji, ani też nią nie pogardzały. Gdyby wszystko inne miało pozostać takie samo, wołałyby być bardziej inteligentne niż mniej, ale inteligencja klasyfikowała się znacznie niżej niż, powiedzmy, wygląd zewnętrzny, charyzma czy talenty sportowe.

Więc, jeśli sama inteligencja nie jest czynnikiem ważącym na popularności, dlaczego bystre dzieciaki tak powszechnie są niepopularne? Myślę, że odpowiedź jest prosta — tak naprawdę one wcale nie chcą być popularne.

Gdyby ktoś powiedział mi coś takiego w czasie, gdy byłem w gimnazjum, z całą pewnością bym go wyśmiał. Bycie niepopularnym wśród rówieśników zatruwa egzystencję, czasami tak skutecznie, że prowadzi do targnięcia się na własne życie. Oświadczenie mi, że wcale nie chcę być popularny, równałoby się w moich oczach wmawianiu komuś umierającemu z pragnienia na pustyni, że wcale nie chce szklanki wody. Oczywiście, że chciałem być popularny.

Ale tak naprawdę nie chciałem tego dostatecznie mocno. Istniało coś, czego pragnąłem bardziej: być bystrym. Nie tylko dostawać dobre oceny, choć to już było coś godnego uwagi, ale móc projektować piękne rakiety albo świetnie pisać, albo wiedzieć, jak się programuje komputery. W skrócie: móc robić wielkie rzeczy.

W tamtych czasach nie oddzielałem od siebie swoich pragnień i nie ważyłem ich. Gdybym jednak to zrobił, okazałoby się, że ważniejsze jest dla mnie bycie inteligentnym. Gdyby ktoś zaoferował mi możliwość stania się najpopularniejszym dzieciakiem w szkole kosztem tego, że moja inteligencja stałaby się przeciętna (no dobra, możesz się ze mnie nabijać), odrzuciłbym tę ofertę.

I choć mózgowcy bardzo cierpią z powodu braku popularności, myślę, że niewielu by ją przyjęło. Dla nich sama myśl o tym, że mieliby być zaledwie przeciętnie inteligentni, jest nieznośna. Ale większość dzieciaków poszłoby na taką wymianę. Dla połowy byłby to awans. Nawet dla kogoś, kto miał koło osiemdziesięciu procent (przy założeniu, jak to wtedy wszyscy zdawali się zakładać, że inteligencja jest procentowa). Kto normalny nie zgodziłby się na spadek o trzydzieści punktów procentowych w zamian za bycie kochanym i podziwianym przez wszystkich?

I to właśnie, jak uważam, jest źródło problemu. Mózgowcy grają na dwa fronty. Chcą być popularni, z całą pewnością, ale jeszcze bardziej chcą być inteligentni. A na popularność nie można pracować „na pół etatu”, nie w zaciekle konkurencyjnym środowisku amerykańskiej szkoły ponadpodstawowej.

Alberti, przez wielu uważany za archetyp człowieka renesansu, pisze, że „żadna sztuka, jakąkolwiek błahą by nie była, nie pozwala na mniej niż całkowite oddanie tym, którzy chcą w niej sięgać szczytów”¹. Zastanawiam się, czy ktokolwiek na świecie pracuje ciężiej nad czymkolwiek niż amerykańscy uczniowie pracują nad własną popularnością. Komandosi z oddziałów Navy Seals i neurochirurdzy wydają się być przy nich leserami. Czasami przecież jeżdżą na urlop — niektórzy nawet uprawiają jakieś hobby. Amerykański nastolatek może na pracę nad swoją popularnością wśród rówieśników poświęcić każdą chwilę swojego czasu przez okrągły rok.

¹ Leon Battista Alberti, „De Commodis Litterarum Atque Incommodis”.

Nie chciałbym posunąć się do stwierdzenia, że świadomie zachowują się w ten sposób. Niektórzy z nich to prawdziwi mali naśladowcy Machiavellego, ale chcę przez to powiedzieć, że nastolatki zawsze pracują nad swoim konformizmem.

Przykładowo, nastolatki ogromną wagę przykładają do ubrań. Nie ubierają się w popularne ciuchy świadomie. Ubierają się tak, żeby dobrze wyglądać. Ale dla kogo? Dla innych dzieciaków. Opinie innych dzieciaków stają się dla nich wyznacznikami tego, co jest właściwe, nie tylko w sposobie ubierania się, ale we wszystkim innym, aż do sposobu poruszania się. I tak każde staranie, żeby postępować „właściwie”, przekłada się, świadomie czy nie, na staranie się o popularność.

Mózgowcy na ogół nie zdają sobie z tego sprawy. Nie zastanawiają się nad tym, że popularność wymaga pracy. Generalnie, osoby z zewnątrz nie zdają sobie sprawy, że odniesienie sukcesu w bardzo wymagającej dziedzinie wymaga nieprzerwanego (choć nie zawsze do końca uświadomionego) wysiłku. Przykładowo, większość ludzi zdaje się postrzegać umiejętność rysowania jako cechę przyrodzoną, niczym wzrost. Tak naprawdę większość ludzi „umiejących rysować” lubi rysowanie i poświęciło mu niezliczone godziny — dlatego są w tym tacy dobrzy.

Podobnie jest z popularnością: nie wygląda to tak, że jest się po prostu popularnym albo nie. Popularność należy samemu sobie wypracować.

Głównym powodem, dla którego mózgowcy nie są popularni, jest to, że ich myśli są zaprzątnięte przez zupełnie inne sprawy. Ich uwagę pochłaniają książki albo tajemnice przyrody, a nie moda i imprezy. Można ich porównać do kogoś, kto próbuje grać w piłkę, równocześnie balansując na czubku głowy szklanką pełną wody. Inni gracze, którzy całą swoją uwagę skupiają na piłce, ogrywają ich bez najmniejszego wysiłku i dziwią się, jak można być tak nieudolnym.

Nawet gdyby mózgowcom zależało na popularności tak samo, jak innym dzieciakom, osiągnięcie jej kosztowałoby ich więcej pracy. Popularne dzieciaki nauczyły się zdobywania popularności i tego, że trzeba być popularnym, w ten sam sposób, w jaki bystre dzieciaki nauczyły się bystrości i tego, że trzeba być byстрыm: od swoich rodziców. Podczas gdy mózgowcy byli uczeni znajdowania poprawnych odpowiedzi, popularne dzieciaki były uczone przypochlebiania się.

Jak dotąd, zacierałem granicę pomiędzy byciem inteligentnym a byciem mózgowcem i stosowałem te dwa terminy wymiennie. W rzeczywistości jedynie kontekst czyni je tożsamymi. Mózgowiec jest osobą, która nie posiada wystarczających umiejętności społecznych. Ale znaczenie słowa wystarczający zależy od tego, gdzie się znajdujesz. W przeciętnej amerykańskiej szkole standardy bycia cool są tak wysokie (albo przynajmniej tak specyficzne), że nie trzeba specjalnie odstawać od reszty, aby w porównaniu z innymi być straszliwie do tyłu.

Niewiele bystrych nastolatków jest w stanie poświęcić komunikacji społecznej tyle uwagi, ile wymaga praca nad popularnością. Jeśli nie mają szczęścia i nie są przy okazji atrakcyjni, utalentowani sportowo czy spokrewnieni z popularnymi uczniami, zwykle czeka ich los mózgowca. I właśnie dlatego życie daje inteligentnym ludziom w kość najmocniej gdzieś tak pomiędzy jedenastym a siedemnastym rokiem życia. W tym wieku popularność ma o wiele większe znaczenie niż wcześniej czy później.

Wcześniej życie dzieci jest zdominowane przez rodziców, nie przez rówieśników. W szkole podstawowej dzieciaki przejmują się tym, co myślą inne dzieciaki, ale nie jest to dla nich sprawa kluczowa. Do tego dochodzi dopiero w gimnazjum.

Około jedenastego roku życia dzieciaki zaczynają traktować swoją rodzinę jako przykrą konieczność i obowiązek. Pomiedzy sobą tworzą zupełnie nowy świat i tym, co się liczy, jest pozycja w takim właśnie świecie, a nie opinia rodziny. W rzeczy samej, sprowokowanie kłopotów z rodziną może podwyższyć ich notowania w społeczności, na której im naprawdę zależy.

Problem w tym, że świat, który te dzieciaki sobie budują, jest z początku światem bardzo topornym. Jeśli zostawimy bandę jedenastolatków samym sobie, otrzymujemy Władcę Much. Tak jak większość amerykańskich dzieci, ja też przerabiałem tę książkę jako szkolną lekturę. Całkiem możliwe, że jest to działanie celowe. Całkiem możliwe, że ktoś chciał nam zasygnalizować, że jesteśmy dzikusami i że świat, który sobie stwarzamy, jest okrutny i głupi. Ale to był dla mnie zbyt subtelny sygnał. Przegapiłem to głębsze przesłanie. Wolałbym, żeby wprost nam powiedziano, że jesteśmy dzikusami i że nasz świat jest głupi.

Mózgowcy lepiej znosiliby niepopularność, gdyby jedynym jej objawem był fakt pozostawienia ich samym sobie przez rówieśników. Niestety, w szkole niepopularność oznacza prześladowania.

Dlaczego? I znowu każdy, kto wciąż chodzi do szkoły, może uznać to pytanie za dziwne. Jak mogłoby być inaczej? Ale przecież mogłoby. Dorośli zwykle nie prześladowają mózgowców. Dlaczego tej pasji oddają się nastolatki?

Jest tak częściowo dlatego, że nastolatki są wciąż jeszcze w połowie dziećmi, a wiele dzieci jest po prostu z natury okrutnych. Niektóre dręczą mózgowców z tych samych pobudek, z jakich wyrrywają odnóża pająkom. Zanim ukształtuje się sumienie, torturowanie innych jest zajmujące.

Kolejnym powodem, dla którego dzieci prześladowają mózgowców, jest chęć polepszenia opinii o samym sobie. Gdy pływasz, unosisz się do góry, odpychając wodę w dół. Analogicznie, w każdej hierarchii społecznej, ludzie niepewni swojej pozycji będą starali się ją podkreślić, maltretując tych, których uważają za trochę gorszych od siebie. Czytałem, że to właśnie dlatego grupą, która w Stanach Zjednoczonych jest najbardziej wrogo nastawiona do czarnych, są biali z nizin społecznych.

Ja jednak uważam, że głównym powodem, dla którego inne dzieciaki prześladowają mózgowców, jest fakt, że to część mechanizmu popularności. Na popularność tylko w pewnej części składa się atrakcyjny wygląd. Znacznie większą rolę grają sojusze. Aby być popularnym, trzeba wciąż zabiegać o bliskość innych popularnych osób, a nic nie zbliża ludzi tak bardzo, jak wspólny wróg.

Podobnie jak polityk, chcący odciągnąć uwagę wyborców od kiepskich wyników gospodarczych czy politycznych, przy braku prawdziwego wroga możesz sobie jakiegoś stworzyć. Wybierając i prześladowując mózgowca, grupa dzieciaków stojących wyżej w hierarchii tworzy więzi pomiędzy sobą. Agresja w stosunku do osoby z zewnątrz zbliża je do siebie. To właśnie dlatego za najpaskudniejszymi przypadkami znęcania się zawsze stoi grupa. Zapytaj dowolnego mózgowca: znacznie boleśnieszce ciągi dostaje się od grupy niż od jednego dręczyciela, choćby ten był wyjątkowo sadystyczny.

Jeśli to dla mózgowców jakiegokolwiek pocieszenie, nie ma w tych zachowaniach nic osobistego. Grupa dzieciaków wybierająca sobie ofiarę, robi dokładnie to samo i z tych samych pobudek, co grupa

facetów wspólnie wybierających się na polowanie. Oni wcale nie nienawidzą swojej ofiary. Po prostu potrzebują czegoś, na co mogliby polować.

Mózgowcy, znajdując się na samym dole skali popularności, są bezpiecznym celem dla wszystkich pozostałych uczniów. O ile dobrze pamiętam, najpopularniejsze dzieciaki nie prześladują mózgowców. Nie muszą zniżać się do takiego poziomu. Za większość przypadków prześladowania są odpowiedzialne dzieciaki stojące niżej w hierarchii: zestresowana klasa średnia.

Kłopot w tym, że takich średniaków jest całe mnóstwo. Popularność nie rozkłada się na wzór piramidy, raczej w dolnej części rozdyma się niczym gruszka. Najmniej popularnych osób jest raczej niewiele (jak mi się wydaje, byliśmy jedynym stolikiem klasy D na naszej stolówkowej mapie). Przez to ludzi chcących polować na mózgowców jest o wiele więcej niż samych mózgowców.

Tak jak można zdobywać punkty, odcinając się od niepopularnych dzieciaków, tak samo zanedbując się do nich można punkty stracić. Pewna pani powiedziała mi, że w liceum lubiła mózgowców, ale bała się, że ktoś ją zobaczy podczas rozmowy z nimi. Gdyby tak się stało, inne dziewczęta zaczęłyby się z niej naigrawać. Niepopularność jest chorobą zaraźliwą. Dzieciaki będące zbyt w porządku, żeby znęcać się nad mózgowcami, i tak będą starały się unikać ich towarzystwa — w samoobronie.

Nie ma więc nic dziwnego w tym, że inteligentne dzieciaki zwykle są nieszczęśliwe w gimnazjum i liceum. Mają inne zainteresowania, których uprawianie pozostawia im niewiele czasu, aby poświęcać go na gonitwę za popularnością, a skoro w szkole obowiązuje zasada „jesteś z nami lub przeciwko nam”, stają się celem ataku wszystkich pozostałych uczniów. I, co dziwne, ten koszmarny scenariusz jest prowokowany przez samą sytuację, nie ma w nim żadnej celowej złośliwości.

Dla mnie najgorszym doświadczeniem było gimnazjum, gdzie kultura nastolatków była nowa i bezlitosna, a specjalizacja, która później stopniowo wyizolowuje bystrzejsze dzieci, dopiero się rozpoczynała. Zgadza się ze mną niemal każdy, z kim na ten temat rozmawiam: na samo dno spada się gdzieś pomiędzy jedenastym a czternastym rokiem życia.

W naszej szkole przypadło to na ósmą klasę, w której skończyłem lat dwanaście. Tego roku miała miejsce chwilowa sensacja, kiedy to jedna z naszych nauczycielek przypadkiem podsłuchiwała rozmowę grupki dziewcząt czekających na szkolny autobus i była tak zszokowana tym, co usłyszała, że następnego dnia poświęciła całą lekcję na elokwentny apel, żebyśmy nie byli dla siebie tak okrutni.

Oczywiście, apel nie przyniósł żadnego zauważalnego rezultatu. Tym, co mnie wtedy uderzyło, był fakt jej zaskoczenia. Czy to znaczyło, że nie miała żadnego pojęcia o tym, w jaki sposób ze sobą rozmawiamy? Czy to znaczyło, że to nie jest rzecz najnormalniejsza w świecie?

Ważne jest uświadomienie sobie, że nie. Dorośli nie wiedzą, jak dzieci są traktowane przez inne dzieci. Wiedzą, teoretycznie, że dzieci są dla siebie niewiarygodnie okrutne, tak samo jak my teoretycznie wiemy, że w krajach Trzeciego Świata ludzie są brutalnie torturowani. Ale w obydwóch przypadkach ludzie nie lubią trwać przy tej przygnębiającej prawdzie i nie dostrzegają dowodów na znęcanie się w konkretnych przypadkach, chyba że tych dowodów aktywnie szukają.

Nauczyciele w państwowych szkołach mają do spełnienia podobną funkcję, jak strażnicy w więzieniach. Głównym zadaniem strażników jest zatrzymanie więźniów tam, gdzie powinni się znajdować. Mają też ich karmić i, o ile to możliwe, dopilnować, by nie pozabijali się nawzajem. Poza tym chcą mieć z więźniami do czynienia tak mało, jak to tylko możliwe, więc zezwalają im na stworzenie takiej społeczności, jaka im się żywnie podoba. Z tego, co czytałem, społeczność tworzona przez więźniów jest skrzywiona, brutalna i wszechogarniająca, a znalezienie się na jej nizinach wcale nie jest zabawne.

W ogólnym zarysie dokładnie tak samo wyglądało to w szkołach, do których chodziłem. Najważniejszą rzeczą było zatrzymanie nas tam, gdzie było nasze miejsce. Jeśli to respektowaliśmy, pracownicy nas karmili, nie dopuszczali do nadmiernego stosowania przemocy i czynili jakieś tam starania, by nas czegoś nauczyć. Ale poza tym nie chcieli mieć z dziećmi zbyt dużo do czynienia. I tak jak w przypadku więźniów, stworzona przez nas społeczność była barbarzyńska.

Dlaczego prawdziwy świat jest bardziej gościnnie dla mózgowców? Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że odpowiedź jest prosta: prawdziwy świat zamieszkują ludzie dorośli, którzy po prostu są zbyt dojrzały, by się znęcać nad sobą wzajemnie. Ale ja nie uważam,

aby tak było w istocie. Dorośli w więzieniach znęcają się nad słabszymi z całą bezwzględnością. Podobnie czynią to panie z wyższych sfer. W niektórych częściach Manhattanu życie kobiet wygląda tak, jakby było kontynuacją szkoły średniej: pełne jest identycznych drobnych intryg.

Myślę, że w prawdziwym świecie ważne jest nie to, że jest zamieszkały przez dojrzałych dorosłych, ale że jest bardzo duży, a uczynki ludzi mają prawdziwe efekty. To właśnie tego brakuje w szkołach, więzieniach i koteriach. Mieszkańcy tych wszystkich światów są uwięzieni w małych bańkach, w których żadne ich działanie nie będzie miało efektu widocznego poza ich małą społecznością. W naturalny sposób te społeczności staczają się w otchłań barbarzyństwa. Nie spełniają żadnej funkcji, dla której mogłyby istnieć w obecnej formie.

Gdy Twoje uczynki mają prawdziwe efekty, nie wystarczy już wszystkim się podobać. Teraz zaczyna być ważne poznawanie poprawnych odpowiedzi i tu właśnie pokazuje się przewaga mózgowców. Oczywiście, na myśl od razu przychodzi Bill Gates. Choć jest znany z tego, że brak mu ogłady, potrafi udzielać poprawnych odpowiedzi, przynajmniej jeśli liczyć ich wyniki w dochodach jego firmy.

Drugą rzeczą, charakterystyczną dla prawdziwego świata jest to, że jest on o wiele większy. W wystarczająco dużym zbiorze nawet najskromniejsza mniejszość może osiągnąć masę krytyczną, jeśli zbierze się razem. W prawdziwym świecie mózgowcy zbierają się w określonych miejscach i tworzą swoje własne społeczności, w których najważniejsza jest inteligencja. Czasami nawet przybiera to przejaskrawione formy: bywa, zwłaszcza na wydziałach nauk ścisłych szkół wyższych, że mózgowcy z premedytacją wyolbrzymiają swoje dziwactwa, aby wydać się bystrzejszymi, niż są w istocie. John Nash tak podziwiał Norberta Wienera, że przejął jego nawyk dotykania ściany podczas wędrówki korytarzem.

Kiedy byłem trzynastolatkiem, większość mojej wiedzy o świecie pochodziła z obserwowania otaczających mnie spraw. Ten mały, spaczony świat, w którym żyliśmy, był — jak wtedy myślałem — moim światem. Świat wydawał się okrutny oraz nudny i wcale nie jestem pewien, co było gorsze.

Ponieważ nie pasowałem do tego świata, myślałem, że to ze mną musi być coś nie tak. Nie rozumiałem, że powodem, dla którego my, mózgowcy, nie pasujemy do otoczenia, jest fakt, że pod wieloma

względami jesteśmy o krok do przodu przed innymi. Rozmyślaliśmy już nad sprawami, które liczyły się w prawdziwym świecie, zamiast poświęcać czas na pracochłonną, ale dość bezsensowną grę, która fascynowała innych.

Byliśmy odrobinę tacy, jak dorośli, którego by ktoś cofnął do szkoły średniej. Nie wiedziałby, jak ma się ubierać, jakiej powinien słuchać muzyki, jakiego używać żargonu. Inne dzieciaki patrzyłyby na niego jak na przybysza z kosmosu. Rzecz w tym, że taki dorośli wiedziałby wystarczająco dużo, żeby nie przejmować się opinią rówieśników. My nie mieliśmy takiej pewności siebie.

Wielu ludzi zdaje się uważać, że dobrze jest bystre dzieciaki w pewnym okresie ich życia na siłę zmieszać z „normalnymi” dziećmi. Być może. Ale przynajmniej w niektórych przypadkach powodem, dla którego mózgowcy odstawali od reszty, było to, że ta reszta zachowywała się jak wariaci. Pamiętam, jak siedziałem na trybunach podczas przerwy meczu w moim liceum, patrząc, jak majoretka rzuca maskotkę przeciwnej drużyny publice, by ta rozerwała ją na strzępy. Czulem się jak odkrywca obserwujący dziwaczny plemienny rytuał.

Gdybym mógł przenieść się w czasie i udzielić trzynastoletniemu mnie jakiejś rady, najważniejszą rzeczą, którą bym mu powiedział, to żeby podniósł głowę i rozejrzał się dookoła. Wtedy tak naprawdę nie dostrzegałem, że świat, w którym żyliśmy, był sztuczny jak Twinkie². Nie tylko szkoła, całe miasto. Po co ludzie przenoszą się na przedmieścia? Żeby mieć dzieci! Nic dziwnego więc, że przedmieścia wydawały mi się takie nudne i sterylne. Cała nasza okolica była jedną wielką ochronką, sztucznym miastem stworzonym specjalnie na potrzeby wychowania potomstwa.

Tam, gdzie dorastałem, zdawało się, że nie ma dokąd iść i nie ma co robić. I nie był to przypadek. Przedmieścia są świadomie zaprojektowane tak, by były odcięte od świata zewnętrznego, bo w nim znajdują się rzeczy, które mogłyby zagrozić dzieciom.

Jeśli chodzi o szkoły, były one po prostu zagrodami służącymi w tym sztucznym świecie do trzymania dzieci. Oficjalną funkcją szkoły jest nauczanie dzieci. W rzeczywistości ich główna funkcja po-

² Produkowane przemysłowo ciastko, znane z tego, że naszpikowane jest polepszaczami i konserwantami — *przyj. tłum.*

lega na trzymaniu dzieci zamkniętych w jednym miejscu przez lwią część dnia, tak żeby dorośli mieli czas na swoje sprawy. Nie mam zresztą nic przeciwko temu: w wyspecjalizowanej społeczności przemysłowej dzieci bez nadzoru to recepta na katastrofę.

To, co mnie martwi, to nie fakt, że dzieci są trzymane w zamknięciu, ale po pierwsze to, że ich się o tym nie informuje, a po drugie, że w ich więzieniach władzę sprawują głównie rówieśnicy. Dzieci są skazywane na sześć lat, podczas których będą musiały uczyć się na pamięć masy nieistotnych faktów w świecie rządzonym przez kastę osiłków biegających za piłką do futbolu amerykańskiego, tak jakby to było coś zupełnie normalnego. A jeśli narzekają na ten surrealistyczny koktajl, zostają napiętnowane jako niepotrafiące współżyć z rówieśnikami.

Życie w tym skrzywionym świecie jest dla dzieciaków stresujące. Nie tylko dla mózgowców. Jak w każdej wojnie, straty ponoszą nawet zwyczajcy.

Dorośli nie mogą nie dostrzegać tego, że dzieci są dręczone. Dlaczego więc czegoś z tym nie zrobią? Bo winą za tę sytuację obarczają okres dojrzewania. Dorośli powtarzają sobie, że wszystkiemu winne są te nowe, okropne związki chemiczne, hormony, które krążą teraz w krwioobiegu ich dzieci i stawiają wszystko na głowie, sprawiając, że czują się one nieszczęśliwe. System działa tak, jak należy: to, że dzieci w okresie dojrzewania przeżywają kryzys, jest rzeczą nieuniknioną.

Ta koncepcja jest tak wiarygodna, że nawet same nastolatki w nią wierzą, co pewnie zresztą nie poprawia sytuacji. Ktoś, kto uważa, że jego stopy bolą same z siebie, nie zacznie się zastanawiać nad tym, że być może nosi za ciasne buty.

Mnie samego nie przekonuje teoria, jakoby trzynastoletnie dzieci miały same z siebie nie po kolei w głowie. Jeśli to jest sprawa fizjologii, rzecz powinna być powszechna. Czy mongolscy nomadzi w wieku trzynastu lat to nihiliści? Zaczytywałem się w książkach historycznych, ale nigdzie nie znalazłem żadnych przesłanek na to, aby to ponoć uniwersalne zjawisko występowało przed dwudziestym wiekiem. Nastoletni uczniowie w epoce renesansu wydają się weseli i gorliwi. Oczywiście, robili sobie nawzajem kawały i wdawali się w bójki (nos Michała Anioła został złamany przez jakiegoś osiłka), ale mieli poukładane w głowach.

O ile jestem w stanie to stwierdzić, koncepcja nastolatka roznoszonego przez hormony ma dużo wspólnego z przedmieściami. Nie uważam, aby to było przypadkowe. Myślę, że nastolatki wariują przez życie, jakie są zmuszone prowadzić. Nastoletni terminatorzy w epoce renesansu biegali po pracowni jak gończe psy. Dzisiejsze nastolatki są neurotycznymi kanapowcami. Takie same problemy z własną psychiką mają też wszyscy ludzie, którzy nie mają się czym zająć.

W czasach, gdy chodziłem do szkoły, samobójstwo było wśród bystrzych dzieciaków codziennym tematem rozmów. Nikt z moich znajomych się nie zabił, ale kilkoro planowało, a niektórzy mogli nawet spróbować. Ale w większości przypadków to była tylko poza. Tak jak inne nastolatki uwielbialiśmy dramatyzm, a samobójstwo wydawało się nadzwyczaj dramatyczne. Jednak w jakiejś mierze za takie myśli odpowiadał fakt, że nasze życie w tym okresie było naprawdę beznadziejne.

Znęcanie się rówieśników nad nami było tylko częścią problemu. Innym problemem, całkiem możliwe, że nawet bardziej dotkliwym, było to, że nie mogliśmy robić nic pożytecznego. Ludzie lubią pracować: w większej części świata to właśnie praca określa człowieka. A cała praca, jaką mogliśmy wykonywać, była bezsensowna albo taką nam się wtedy wydawała.

W najlepszym przypadku nasza „praca” była jedynie wprawką do pracy, którą mieliśmy szansę wykonywać w dalekiej przyszłości, tak dalekiej, że nawet nie bardzo wiedzieliśmy, do czego się wprawiamy. Częściej wyglądało to na wcześniej przez kogoś ustalone bramki do zaliczenia, słowa bez znaczenia, przygotowane głównie pod kątem testów. (Trzy główne przyczyny Wojny Secesyjnej to... — Test: wymień trzy główne przyczyny Wojny Secesyjnej).

Na domiar złego nie można było się z tego wypisać. Dorosli uzgodnili między sobą, że tak właśnie ma wyglądać droga na studia. Jedynym sposobem na wyrwanie się z tej pustej egzystencji było zaakceptowanie jej.

Dawniej nastolatki pełniły znacznie aktywniejszą rolę w społeczeństwie. W czasach przed rewolucją przemysłową wszystkie się przyuczały do jakiegoś zajęcia, czy to w sklepach, czy na polach, czy też na okrętach wojennych. Nie pozostawiano ich samym sobie, by same tworzyły swoją społeczność. Były niepełnoprawnymi członkami społeczności dorosłych.

Nastolatki zdawały się wtedy bardziej poważać dorosłych, bo widziały w nich ekspertów w dziedzinach, które usiłowały zgłębić. Dzieci niespecjalnie wyobrażają sobie, co też robią ich rodzice zamknięci w odległych biurach i nie widzą żadnego związku (zresztą związek ten w rzeczy samej jest symboliczny) pomiędzy tym, czego uczą się w szkole, a tym, co będą robiły, gdy dorosną.

A ponieważ nastolatki bardziej szanowały dorosłych, dorośli mieli w nich większą wyrykę. Po kilku latach nauki terminator mógł być dla mistrza dużą pomocą. Nawet najbardziej smarkaty uczeń mógł się przysłużyć, biegnąc z wiadomościami lub sprzątając warsztat.

Dziś nastolatki są dla dorosłych generalnie bezużyteczne. W biurze tylko by przeszkadzały. Są więc po drodze do pracy zostawiane w szkole, tak jak psy zostawia się w hotelach dla zwierząt podczas wyjazdu na weekend.

Dlaczego do tego doszło? Tu stajemy przed niełatwą kwestią. Przyczyną tego problemu jest to samo, co przyczynia się do wielu innych problemów, z którymi musimy się borykać w naszych czasach: specjalizacja. W miarę, jak wykonywana praca wymaga coraz większej specjalizacji, trzeba się do niej coraz dłużej przyuczać. W czasach przed rewolucją przemysłową nastolatki zaczynały pracować najpóźniej w czternastym roku życia. Dzieci na wsi, gdzie żyła większość ludzi, zaczynały o wiele wcześniej. W dzisiejszych czasach młodzi ludzie, którzy zdecydują się na wyższe wykształcenie, nie zaczynają pracować na pełnym etacie przed 21 czy 22 rokiem życia. W niektórych specjalizacjach, na przykład w medycynie lub tam, gdzie jest wymagany doktorat, nauka kończy się dopiero koło trzydziestki.

Dzisiejsze nastolatki są bezużyteczne, przydają się jedynie w charakterze taniej siły roboczej w barach szybkiej obsługi, które zresztą na wykorzystaniu tego faktu zbudowały swoją strukturę organizacyjną. W niemal każdej innej pracy zatrudnienie nastolatka byłoby całkowicie nieopłacalne. Ale dzieci nie można też zostawiać bez nadzoru. Ktoś musi ich pilnować, a najbardziej ekonomicznym sposobem na osiągnięcie tego celu jest zebranie dzieci razem w jednym miejscu. Tam, gdzie garstka dorosłych będzie w stanie nad nimi czuwać.

Jeśli zatrzymać się w tym punkcie, to obraz, który wyłania się nam z tego opisu, przypomina ni mniej ni więcej tylko więzienie, z tą różnicą, że czynne przez część doby. Problem w tym, że wiele szkół właśnie w tym miejscu się zatrzymuje. Ustawową funkcją szkół jest

kształcenie dzieci. Ale nie ma żadnego zewnętrznego nacisku, by szkoły kształciły dobrze. Dlatego też wiele szkół radzi sobie z tą funkcją tak nieudolnie, że dzieci nie traktują tego poważnie — nawet te bystre dzieci. Przez większość czasu spędzonego w szkole powtarzaliśmy wyuczoną rutynę i mam tu na myśli zarówno uczniów, jak i nauczycieli.

W liceum uczyliśmy się francuskiego i mieliśmy przeczytać w oryginale *Nędzników* Wiktora Hugo. Nie sądzę, aby którekolwiek z nas znało język wystarczająco dobrze, by poradzić sobie z tą opasłą księgą. Podobnie jak reszta klasy, zapoznałem się tylko z brykiem *Cliff's Notes*. Gdy dostaliśmy test dotyczący książki, zauważyłem, że pytania brzmią trochę dziwnie. Były pełne długich słów, których nasz nauczyciel by nie użył. Skąd się wzięły te pytania? Okazało się, że też z publikacji *Cliff's Notes*. Nauczyciel też się nimi podpierał. Wszyscy, zupełnie wszyscy — po prostu udawaliśmy.

Z całą pewnością w szkołach państwowych uczą też znakomici nauczyciele. Energiczność i wyobraźnia pana Mihalko, który uczył mnie w czwartej klasie, sprawiły, że jego uczniowie będą wspominali lekcje jeszcze po trzydziestu latach. Ale nauczyciele tacy jak on są tylko jednostkami walczącymi na przekór wszystkiemu. Nie są w stanie naprawić systemu.

Niemal w każdej grupie ludzi powstaje hierarchia. Gdy w prawdziwym świecie dorośli ludzie organizują się w grupy, czynią to zwykle w celu wykonania jakiegoś wspólnego zadania, a przywódcami takich grup stają się zwykle ci, którzy są najlepsi w tym, czym zajmuje się grupa. Problemem większości szkół jest to, że nie ma w nich żadnych wspólnych zadań. Ale bez hierarchii obyć się nie można. Dlatego też dzieci budują ją z niczego.

Mamy określenie na to, co się dzieje, gdy trzeba ustalić hierarchię, nie mając żadnych rozsądnych kryteriów. Mówimy, że sytuacja „wynaturzyła się w konkurs popularności”. I dokładnie to zjawisko ma miejsce w większości amerykańskich szkół. Pozycja poszczególnych osób, zamiast być ustalana na podstawie jakichś prawdziwych kryteriów, zależy głównie od umiejętności podwyższania tej pozycji. Niczym na dworze Ludwika XIV. Nie ma żadnego z zagrożenia z zewnątrz, więc dzieciaki postrzegają siebie nawzajem jako zagrożenie.

Tam, gdzie istnieje jakieś prawdziwe kryterium przydatności, znalezienie się na samym dole hierarchii nie jest aż tak dokuczliwe.

Nowicjusz w zespole piłkarskim nie posiada umiejętności weterana — ma nadzieje pewnego dnia stać się taki jak on i cieszy się, że będzie miał szanse uczyć się od niego. Z kolei weteran może w tej sytuacji czuć coś w rodzaju noblesse oblige. A co najważniejsze, status członków takiej grupy jest zależny od tego, jak radzą sobie postawieni twarzą w twarz z przeciwnikiem, a nie od tego, jak dobrze potrafią piąć się w górę po cudzych plecach.

Hierarchie dworskie to zupełnie inna sprawa. W tym typie społeczności każda nowa osoba jest z miejsca deprecjonowana. Nie ma ani podziwu u tych na dole, ani żadnej noblesse oblige u tych na górze. Jedyna zasada to „zabij lub zostaniesz zabity”.

Właśnie taki rodzaj społeczności wytwarza się w amerykańskich szkołach ponadpodstawowych. A dzieje się tak dlatego, że szkoły te nie służą żadnemu innemu celowi, jak tylko gromadzeniu dzieciaków w jednym miejscu na określoną liczbę godzin dziennie. To, czego wtedy nie rozumiałem, a tak naprawdę zrozumiałem dopiero niedawno, to fakt, że dwa koszmary szkolnego życia — okrucieństwo i nuda — mają wspólne źródło.

Nędza amerykańskich szkół państwowych przynosi większe szkody niż tylko unieszczęśliwianie dzieci na sześć lat. Rodzi skłonność do buntu, czynnie odwodzącą dzieciaki od nauki potrzebnych umiejętności.

W moim przypadku, podobnie jak pewnie w przypadku wielu mózgowców, musiały minąć całe lata od ukończenia liceum, żebym zdołał zmusić się do przeczytania którejsz ze szkolnych lektur. I straciłem więcej niż tylko książki. Nie ufałem słowom „charakter” i „prawość”, bo dorośli doszczętnie mi je obrzydzili. W takim kontekście, w jakim były wtedy używane, słowa te oznaczały jedno i to samo: posłuszeństwo. Dzieciaki chwalone za pielęgnowanie tych cech w najlepszym przypadku były tępymi kujonami, a w najgorszym — obrzydliwymi kapusiami. Jeśli charakter i prawość na tym miały polegać, nie chciałem mieć z nimi nic wspólnego.

Słowem, które rozumiałem najbardziej opacznie, był wyraz „takt”. Używany przez dorosłych zdawał się znaczyć tyle, co siedzenie cicho. Z góry założyłem, że angielskie „tact” pochodzi od słów „tacit” (milczący) i „taciturn” (małomówny) i że dosłownie chodzi o zatrzymywanie swoich poglądów dla siebie. Poprzysiągłem sobie, że nigdy nie będę taktowny — nigdy nie pozwolę nikomu zamknąć sobie ust.

Tymczasem słowo „takt” pochodzi od łacińskiego „tactus” oznaczającego dotyk i być taktownym znaczy tyle, co być delikatnym. Taktowny to przeciwieństwo grubiańskiego. Nie sądzę, aby zrozumiał tę różnicę, zanim trafiłem na uczelnię.

Mózgowcy nie są jedynymi przegranymi w szkolnym wyścigu szczurów biegnących po popularność. Mózgowcy są niepopularni, bo nie potrafią dla popularności poświęcić wystarczająco dużo. Są też inne dzieciaki, które świadomie nie biorą w tym udziału, tak bardzo są zdeglustowane całą tą szopką.

Nastolatki, nawet buntownicze, nie lubią być same, więc gdy dzieciaki wypisują się z systemu, zwykle czynią to grupowo. W szkołach, do których chodziłem, istotą buntu było używanie narkotyków, najczęściej marihuany. Dzieciaki z tego szczepu nosiły czarne koszulki z nazwami zespołów i nazywaliśmy je „odlotowcami”.

Odlotowcy i mózgowcy byli w sojuszu, pomiędzy tymi dwiema grupami było wiele podobieństw. Odlotowcy byli z reguły bystrzejsi niż inne dzieciaki, choć nauka nigdy nie była (a przynajmniej nie zdawała się być) istotną wartością szczepową. Ja sam byłem bardziej mózgowcem, ale przyjaźniłem się z wieloma odlotowcami.

Dla zadzierzgnięcia więzi między sobą, przynajmniej z początku, odlotowcy używali narkotyków. To było coś, co można było robić wspólnie, a ponieważ narkotyki były nielegalne, pełniły rolę wspólnego sztandaru buntu.

Nie twierdzę tu, że kiepskie szkoły są jedynym powodem, dla którego dzieciaki zaczynają mieć kłopoty z narkotykami. Po jakimś czasie narkotyki stają się celem samym w sobie. Nie ulega też wątpliwości, że dla niektórych odlotowców narkotyki były ucieczką od problemów — na przykład rodzinnych. Ale przynajmniej w mojej szkole powodem, dla którego większość dzieciaków sięgała po narkotyki, była chęć buntu. Czternastolatki nie zaczynają palić trawy dlatego, że ktoś im powiedział, że to pomoże im uciec od problemów. Sięgają po nią, bo chcą wstąpić do innego szczepu.

Złe rządy sprzyjają buntom — to nie jest nowa teoria. I pomimo tego władze cały czas działają tak, jakby powodem problemu były jedynie narkotyki.

Prawdziwym problemem jest pustota szkolnego życia. Zanim dorośli tego nie rozumieją, nie uda się nic zrobić. Dorośli, którzy mają szansę zrozumieć to najszybciej, to ci, którzy sami byli w szkole mózgowcami. Czy chciałbyś, żeby Twoje dziecko było w ósmej klasie równie nieszczęśliwe jak Ty? Ja bym nie chciał. Cóż, czy w takim razie istnieje cokolwiek, co moglibyśmy zrobić dla naprawienia tej chorej sytuacji? Niemalże na pewno tak. W aktualnym systemie nie ma nic, co byłoby absolutnie niezbędne. Utrzymujemy go głównie z przyzwyczajenia³.

Dorośli jednak są wiecznie zajęci. Pojawienie się na szkolnej sztuce to jedna rzecz. Podjęcie próby zreformowania szkolnej biurokracji to rzecz zupełnie inna. Może garstka ludzi ma dość chęci i energii, żeby coś zmienić. Podejrzewam, że najtrudniejsze będzie przekonanie się, że można coś zmienić.

Mózgowcy, którzy wciąż chodzą do szkoły, nie powinni raczej czekać z niecierpliwością. Być może pewnego dnia oddział ciężko-zbrojnych dorosłych w helikopterach pojawi się z odsieczą, ale to pewnie jeszcze nie w tym miesiącu. Każda doraźna poprawa sytuacji mózgowców na dzień dzisiejszy leży w rękach ich samych.

Już samo zrozumienie całej sytuacji powinno ułatwić jej znoszenie. Mózgowcy nie są przegrani. Oni po prostu grają w zupełnie inną grę, grę o wiele podobniejszą do tej, w którą gra się w prawdziwym świecie. Dorośli zdają sobie z tego sprawę. Trudno dziś znaleźć dorosłego, który odniósł sukces, a który by nie twierdził, że w liceum był mózgowcem.

Ważne jest, by mózgowcy zrozumieli też, że szkoła nie jest życiem. Szkoła to dziwaczny, sztuczny twór, na wpół sterylny, na wpół dziki. Jest wszechogarniająca jak życie, ale nie jest prawdziwa. To tylko stan przejściowy — jeśli podniesiesz wzrok, możesz wyjrzeć poza nią, wciąż do niej uczęszczając.

³ Jak więc naprawić szkoły? Kluczem do odpowiedzi na to pytanie może być szkolnictwo wyższe. Gdy trafiasz na (dobry) uniwersytet, większość problemów, które tu opisałem, znika jak kamfora. Rozwiązanie można więc znaleźć, zadając po prostu pytanie: „W jaki sposób sprawić, by życie nastoletnich mózgowców bardziej przypominało życie na uniwersytecie?”

Nauka w domu może być rozwiązaniem prowizorycznym, ale raczej nie jest rozwiązaniem optymalnym. Dlaczego rodzice nie uczą dzieci w domu przez cały okres edukacji, łącznie ze studiami? Bo studia dają możliwości, których nauka w domu dać nie może? Liceum też mogłoby dawać takie możliwości, gdyby było zorganizowane w przemyślany sposób.

Jeśli nastolatkowi życie wydaje się koszmarem, nie dzieje się tak dlatego, że hormony zamieniają go w potwora (jak uważają niektórzy rodzice), ani też dlatego, że naprawdę jest straszne (w co wierzy młody człowiek). Spowodowane jest to tym, że dorośli, którzy nie mają z dziecka żadnego pożytku w sensie ekonomicznym, zostawili go w szkole na parę lat bez żadnego ważnego zadania do zrobienia. Życie w dowolnej społeczności tego rodzaju musiałyby być okropne. Odpowiedzi na pytanie, dlaczego nastolatki są nieszczęśliwe, nie trzeba daleko szukać. Odpowiedź jest tutaj.

Powiedziałem w tym eseju kilka trudnych rzeczy, ale w rzeczywistości myśl znajdująca się na samym dole jest optymistyczna — pewne problemy traktowane przez nas jako nieuniknione można rozwiązać. Nastolatki wcale nie muszą być nieszczęśliwymi potworami. Ta wiadomość powinna ucieszyć zarówno dzieci, jak i dorosłych.